Świat powieściowy.

Nr. 127 Tygodnik belletrystyczny. **Rok III.**

Złamany a nieugięty.

Powieść w trzech częściach.

(Ciąg dalszy)

Po odejściu Arnolda Paula długo zostawała w roskosznem omdleniu. Nastąpiła w niej jakaś dziwna przemiana. Myśl jej nie zwracała się więcej ku tłumowi pochlebców. znikło z jej oczu olśniewające światło kinkietów teatralnych, nie brzmiały w jej uszach przeciągłe oklaski, zobojętniały wieńce i bukiety jak grad sypiące się na scenę, w tej chwili wszystko znikło z jej myśli. — Kochała, widziała tylko Arnolda, rozpływała się w wzajemnej miłości — znikła Paula baletniczka, zostawiwszy na swe miejsce Paulę kobietę.

I siedziała długą chwilę nieruchoma, i nie słyszała kroków, które zbliżyły się do niej, aż wyrwał ją z zadumy głos inny, obcy, nie ten co drżał w jej duszy, który dotąd pieścił jej ucho.

— Paulo! zapomniałaś już całkiem o mnie? — głos był smutny, rzewny, łzawy.

Paula porwawszy się stanęła na dywanie. Przed nią stał generał Lemański.

— Nie spodziewałaś się mnie w tej chwili? Przestraszyłem cię może? — przemówił

— Nie generale, zbudziłeś mię tylko z snu roskosznego! — odrzekła Paula rzucając się na fotel. — Generale, jak ja go kocham! ach, jaka ja szczęśliwa! — szepnęła cichutko i drobnemi dłońmi zakryła lica, na które wystąpiły silne rumieńce.

Wstydziła się w tej chwili — czego i kogo? — czy generała, czy szczęścia swojego?

— Szczęśliwa? — zapytał generał i odjął jej rączki od twarzy — szczęśliwa? — powtórzył z goryczą, dostrzegłszy odcień szkarłatny, który się rozlał aż po śnieżnej szyi i wzburzonem łonie.

— A! — zawołał, a w tym wykrzyku wrzała cała burza uczuć nim miotających, ból i zazdrość, rozpacz i upokorzenie. To też trzymał i cisnął tak mocno jej ręce, że aż trzeszczały drobne paluszki, w które wpiły się ostre kamienie pierścionków, a ból ten wydobył jęk na usta Pauli i łzy do oczek.

— Boli mnie — szepnęła cicho i uwolnione paluszki przycisnęła z dąsem do karminowych usteczek.

— Boli, ha! boli! — krzyknął generał i porwał się oburącz za głowę. — Ty myślisz, że to ból? Czy chcesz wiedzieć jak ból wygląda? Ot, weź ten nóż i rozpruj pierś moją, wyjm serce i sprowadź lekarzy, a oni ci opowiedzą może historję bolu serca! Rozłup mi czaszkę i zajrzyj do mózgu, a będziesz miała ciekawe studjum dla twego lekarza! Zobaczycie oboje jak ból wygląda... Słuchaj, ty, kobieto czy szatanie, ja cię zabiję, przeszyję sztyletem twoją pierś śnieżną, bo ja ciebie kocham, kocham jak szaleniec! — i głos jego coraz bardziej był chyrczący, a wyraz twarzy straszny, dziki prawie. — Kocham cię, jak nikt jeszcze nie kochał, jak nikt kochać nie będzie! Czego chcesz, mów czego chcesz, czem cię ubłagać, uprosić, czem wyżebrać twą miłość?! Chcesz gwiazdki czy słońca? chcesz królestwa całego? powiedz, ja popełnię zbrodnię, stanę się zabójcą, zbrodniarzem dla ciebie!.. I czego drżysz, czego się boisz Paulo moja? — mówił dalej cicho, rzewnie, pieszczotliwie. — Czy mnie się boisz, mnie, który by cię jak świętość piastował, chronił przed najlżejszym wietrzyka powiewem, czy mnie się boisz? O, niegdyś mnie się lękano, byłem surowy, czoło me przed nikim się nie zniżyło, nie znałem co pokora, na mój głos drżały tysiące, a dziś, patrz, ja klęczę u stóp twoich, biję czołem o ziemię... Połóż twe drobne nóżki na karku moim, depcz po mnie, jam twój

niewolnik, a niewoli tej nie oddałbym za tron monarchy! Paulo moja! — i podniósłszy się z kolan chciał objąć kibić dziewczęcia, ale ta usunęła się zwinnie, w bok się rzuciwszy, i zasłoniła drobnemi rączętami. Nie bała się już teraz, odzyskała przytomność całą, i rzekła spokojnie i szyderczo:

— I czegoż chcesz odemnie starcze szalony?! Tobie się mierzyć z moim Arnoldem, z moim ślicznym, kochanym, najdroższym? Czego chcesz odemnie, dla czego mię straszysz i robisz wyrzuty? Czy cię zdradziłam, czy mówiłam że cię kocham, że będę twoją? Byłeś moim poczciwym, troskliwym opiekunem i kochałam cię za to, jakbym kochała ojca, gdybym go miała. Otaczałeś mię staraniami i zbytkiem, i byłam ci wdzięczną, poufałą jak z dobrym, starym przyjacielem. Byłam że twoją kochanką? myślałeś, że złotem mię kupisz, jak kupił mię Arnold na wieczną własność pieszczotami i miłością? Nie wiem, kiedy go pokochałam, lecz go kocham wszystką miłością, którą pierś kobiety pomieścić jest w stanie! Wiesz, że przed nim nie kochałam nikogo, spowiadałam ci się szczerze z moich tryumfów i bawiliśmy się niemi razem. I wtedy, gdy me serce było wolne, nie zażądałeś mej miłości, a dziś, gdy ono już do mnie nie należy, odzywasz się z szalonem żądaniem!...

— Więc nie kochaj mnie — rzekł smutno generał — ale bądź dla mnie taką jaką byłaś dawniej. Potrafię zamknąć w piersi nieszczęsne uczucie, ale nie kochaj tamtego! Och! bo wściekłość mnie ogarnia! Gdy widzę wasze spojrzenia ogniste, gdy słyszę szept wasz miłośny, uciekam, a siedząc samotny, zdaje mi się, że mię dochodzi odgłos waszych namiętnych pocałunków. Pragnąłbym rozdzielić was sztyletem lub kulą, i zdaje mi się, że z roskoszą patrzyłbym na drgające konaniem członki wasze! Wy się całujecie, prawda, przyznaj się gadzino! — syczał owładnięty szałem zazdrości. — On zsysa słodycz z ust twoich, upaja i roskoszuje wdziękami twojemi, a ty nie wzbraniasz mu tego, ale lgniesz do jego piersi i drżysz w jego ramionach?!... Przyznaj się, wszak prawda?

— Tak, na jego piersi drżę z roskoszy! Jego pierś to mój świat, a on mój wszechwładny pan i król. Posłuszna jemu i jego miłości, ugięłam się od zbytku szczęścia, upadłam i nie chcę się podnieść! Kocham go, powiem to światu całemu, nie zaprę się ani mego upadku ani mego szczęścia! Tak, kocham go, bo on mój, mój jedyny, mój wiecznie i zawsze! — mówiła jakby do siebie i uśmiechała się słodko. — Mój wiecznie i zawsze! — powtarzała i przyciskała pierś drobną dłonią, jakby on był przy jej sercu.

Ale generał nie widział już tego. Usłyszawszy wyznanie jej upadku jęknął głucho i wyleciał jak huragan. Jak szalony przebiegał ulice, wiatr rozwiewał siwe jego włosy, a księżyc przestraszony dzikim jego wzrokiem zakrył się chmurką leciuchną i pomknął szybko pod jej osłoną.

Generał biegł jak młodzieniec na schadzkę miłośną, i ani nie wiedział, kiedy się znalazł w swych apartamentach. Tu nabił rewolwer, wsunął go do kieszeni, wypadł znowu na ulicę i tym razem ocknął się dopiero w pokoju Arnolda.

Drzwi nie były na klucz zamknięte.

Czyż Arnold wiedział w chwili, gdy ostatni raz próg ten przestępował, że drzwi są na to, aby je zamykać? Czyż zresztą miał wtedy choć tę świadomość, że wszedł tam przez drzwi, a nie wleciał oknem?

Lampa dogorywała, a brzask różowy poranku wciskał się już do pokoju i wraz z światłem lampy oświecał twarz śpiącego Arnolda. A spał jak dziecko cicho i spokojnie, od czasu do czasu usta się tylko poruszały, szepcąc: moja jedyna! moja najdroższa! — i śnił zapewne o ostatnim namiętnym uścisku, bo na twarz wystąpił silny rumieniec, a ręce cisnął do falującej piersi.

Teraz gdy oczy przysłonięte długiemi, ciemnemi rzęsami, nie rzucały błyskawic, gdy włosy w nieładzie rozdzieliły się u czoła, a usta pełne, koralowe, uśmiechały się słodko i roskosznie, pomimo że były ocienione ślicznym, ciemnym wąsikiem, Arnold śpiący robił wrażenie młodej, przebranej w strój męzki dziewicy.

Generał stał nad nim i wpatrywał się w niego z zazdrością i nienawiścią. Zacisnął usta, by go nie zbudzić przekleństwem, a w drżącej dłoni cisnął kurczowo rewolwer, by się nie stać prostym zabójcą. A tak łatwo mógł go teraz uspić na wieki! W chwili przejścia w świat lepszy byłby szeptał jeszcze: moja jedyna! moja najdroższa!

Generał stał i wpatrywał się ponuro w rysy śpiącego. I zdawało mu się, że gdzieś, dawno, kiedyś, znał kogoś bardzo podobnego.

— Jak on podobny do kogoś! Jaki on piękny — jaki młody i piękny! — brzmiało mu w duszy

i nienawidził go za tę młodość i piękność, i oddałby mu cały majątek, i szlify generalskie, i resztę życia za tę młodość i piękność, którą kupił miłość Pauli!

Pauli! — i na wspomnienie tego imienia wstrząsł się i jęknął, a na jęk ten otworzył oczy spiący młodzieniec. Zobaczył światło lampy, nie mile bijące w oczy przy blasku dnia białego, zobaczył siebie nierozebranego, i generała z narzędziem zabójczem w dłoni, generała z pianą na ustach i piekłem w oku.

Pierwszą jego myślą było, że się Pauli coś stało. Przypomniał sobie wczorajszy wieczór i zarumienił się jak ona. Porwał się z łóżka, chwycił generała za ramię i jedno tylko słowo wypadło z ust jego:

— Paula?!

Ale to słowo było iskrą, rzuconą w prochownię! Na dźwięk tego imienia generał zatrząsł się jak w febrze i krzyknął nieludzko.

— Nikczemniku! — wrzasnął wściekły — ukradłeś mi serce Pauli, ukradłeś mi szczęście i życie! Broń się, jeżeli nie chcesz, bym ci jak psu w łeb wypalił!

Arnold odstąpił — zrozumiał i zląkł się, choć nie był tchórzem. Zobaczył się jednak w mocy człowieka pijanego szałem, nienawiścią i zemstą! Usprawiedliwił i pojął go. I on by zabił tego, który by mu odebrał miłość Pauli, i ją by zabił — ją nawet! Ach! jak ona drżała w jego objęciu! Do przytomności przyszła dopiero wśród jego uścisków... I znikła mu z myśli chwila obecna i stał naprzeciw skierowanej ku sobie lufy rewolweru, spokojny i uśmiechnięty, pogrążony w wspomnieniu chwili przeżytej.

— Broń się! — krzyknął powtórnie generał, przykładając mu lufę do czoła i chyrcząc z wściekłości, gdyż z wyrazu twarzy odczytał jego myśli i marzenia.

Arnold odrzucił w tył głowę, a silnem uderzeniem ręki wytrącił broń z dłoni napastnika. Oczy ciskały iskry gniewu, a na czoło wystąpiły sine pręgi.

— Bronić się mam? Czem i przeciw czemu? — zawołał. — Chciałżebyś generale, bym stanął z tobą do walki z laską i pięścią? Byłażby to równa szansa? Czy chcesz świetne i bez skazy imię twych przodków splamić prostem zabójstwem?!

Ale Lemański przyszedł już do siebie i zawstydził się nawet sceny, jaką wywołał — zawstydził się swoich siwych włosów i padł na krzesło zakrywając twarz rękoma.

Pomieniali z sobą teraz role. Arnold stał przed nim w postawie wyzywającej, z błyskawicą gniewu w oczach, a uśmiechem sarkazmu na pięknych ustach.

— Generale — rzekł — wpadasz do mnie z bronią w ręku i pianą wściekłości na ustach, lżysz mię słowami, które tylko śmierć zmywa i grozisz kulą jak profesor krnąbrnemu dzieciakowi rózgą. Kto z nas szalony, osądź sam. Krzyczysz, żem ci ukradł miłość Pauli! Teraz ja ci powiem: kłamiesz starcze! Paula nie kochała cię nigdy — nie kochała nikogo — kocha mnie tylko jednego i na zawsze — pierwszego i ostatniego! — Kocha jak ja ją kocham, całą potęgą uczucia, jakie pierś ludzka pomieścić jest w stanie i nie wydrze mi jej nic i nikt, chyba Bóg sam! Myślisz że lękam się ciebie i twej kuli? Wszak stoję przed tobą bezbronny i z odkrytą piersią. Cóż cię wstrzymuje od mordu skrytego, który już może popełniłeś w myśli? Powiedzą ludzie, że popełniłem samobójstwo — uwierzą wszyscy, i ona uwierzy — wmówisz sam w siebie, że nic twoja w tem wina, że stało się to niechcący, w chwili uniesienia!.... zakupisz dziesięć, sto, tysiąc mszy za duszę moją i... i... no i cóż dalej będzie? Co potem się stanie? Mów, odpowiadaj starcze szalony! — krzyczał gwałtownie i przystąpił bliżej do niego, a pochwyciwszy go za skórczone ręce, wpatrywał się weń dziko. — Cóż potem będzie? Czy sądzisz, że trup mój z roztrzaskaną głową nie stanie co nocy u twego wezgłowia? że na ustach każdego przechodnia, w oczach każdego nie wyczytasz wielkiemi zgłoskami wyryte słowo: zabójca?! Myślisz może, że Paula otworzy ci swe ramiona, jak mnie je otworzyła, że zawiśniesz na jej ustach i rozpłyniesz się w roskoszy, jak ja się rozpływam, że omdleje w twoich objęciach, jak w moich omdlała? O! Paula moja na śmierć i życie! moja wiecznie, wiecznie, wiecznie... — mówił ciszej jakby do siebie. — Oh, starcze biedny! popatrz na twe siwe włosy, na zmarszczki i bruzdy, które wiek i namiętność wyryły na twem czole, i popatrz na mnie — możesz ty iść o lepsze ze mną i młodością moją? Uczucia twoje, które dziś są już tylko szczątkami, mogąż iść w porównanie z ogniem miłości, który wre w piersi mojej? I ty chcesz, by cię Paula kochała?!.

Cha, cha, cha! czy za złoto twoje? Ona go nie potrzebuje — weź je sobie — zabierz — ja potrafię zapracować!..

— Ty? — krzyknął generał i porwawszy się stanął przed nim. — Ty? — i zaśmiał się szyderczo. — A! ślicznie pracujesz, nie ma co mówić! Porzuciłeś zawód lekarski, który ci mógł dać chleb i sławę, i żyjesz... no, powiedz, z czego żyjesz? Zastanów się raz, oprzytomnij, i wyznaj sam przed sobą, z czego żyjesz? Czy z tej nędznej gaży, którą pobierasz za głos jeszcze nędzniejszy?! Szaleńcze, żyjesz w gorączce miłości i ani wiesz, co się w około ciebie dzieje! Nie wypędzają cię z mieszkania, a ty ani pytasz, kto za nie płaci; znajdujesz koło siebie coraz świeższe i modniejsze ubrania, a ty ani wiesz, kto ci je dostarcza! I cóż ty umiesz i jak chcesz zapracować na świetne utrzymanie kobiety takiej jak Paula, która nie znając nawet wartości złota, trwoni go w jednym dniu więcej, niż wydaje go może na rok cały twoja matka!

— Moja matka! moja biedna matka! — szepnął Arnold sam do siebie, a na twarz wystąpił mu rumieniec wstydu i oburzenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

(Dokończenie.)

XXX.

Znowu chwil kilka upłynęło. Węglarka czatowała pilnie, słuch i wzrok wytężając. Spodziewała się, iż Marietta wypuści hrabiego małą furtką, wprost na drogę prowadzącą. Plan jej był dawno gotów. Pójdzie w trop za nim, i strzeli, skoro znajdzie się na territorium, nie należącem do hrabiego de Trameillan. Lękała się tylko, czy pan jej potrafi gniew wściekły pohamować, i czy nie ubije obojga winnych, jeżeli ich razem zastanie. Dotąd atoli głuche milczenie, tak w koło niej, jak i w zamku panowało.

Gwiazdy gasły jedna po drugiej, ustępując przed blaskiem dziennym. Od wschodu niebo szarzeć już zaczynało.

Naraz czujne jej ucho dosłyszało, niby brzęk szkła stłuczonego, ale po stronie przeciwnej zamku i jakby gdzieś wysoko, pod samym dachem. Pobiegła fosą, która ponure zamczysko w koło opasywała, i w jednej chwili była już po drugiej stronie. Szybkim rzutem oka zmierzyła to skrzydło zamkowe, od dachu aż do suteren.

Dość jeszcze ciemno było, kocie jednak oczy węglarki dostrzegły coś odbijającego się konkurami mglistemi, od tła szarego widnokręgu. Była to jakaś postać niewyraźna, zsuwająca się powoli na dół po drucie konduktora, chroniącego dach zamkowy od piorunów.

— To on! — szepnęła.

Jak strzelec znudzony długą zasiadką, uśmiecha się na widok zwierzyny upragnionej, taką dziką radością i jej twarz zajaśniała. Opatrzywszy zamek od karabinka, czekała, do ściany fosy przytulona.

Postać zagadkowa posuwała się jak mgła po cienkim drucie. Był to prawdopodobnie hrabia de Mortrée. Napadnięty przez męża znienacka, musiał uciec na strych, tam okno wyłamawszy, na dach wyskoczył, a z dachu, nie mając innego środka, próbował dostać się na dół, tym nader niebezpiecznym sposobem.

Węglarka z sercem bijącem oka z niego nie spuszczała. Jeżeliby mu sił zabrakło?... drut ostry dłonie pokaleczył?... mógłby spaść... zabić się, lub przynajmniej ręce i nogi połamać, wtedy skandal byłby nie do uniknienia, a honor jej pana nadwerężony.

Hrabia de Mortrée dostał się wreszcie na ziemię, i oglądnąwszy wkoło bacznie i trwożliwie, począł uciekać, ku ziemi się pochyliwszy, aby mniej być widzianym.

Węglarka puściła się jego śladem. Dnieć zaczynało, łatwo więc mogła nie stracić z oczu upatrzonej ofiary.

Hrabia był młody i przyzwyczajony do ćwiczeń gimnastycznych, mknął więc z szybkością nadzwyczajną. Dostawszy się na koniec parku, stanął i znowu się oglądnął. Węglarka nie miała czasu ukryć się za drzewo; cień jej mignął mu przed oczami. Zawahał się chwilę. Nie miał jednak broni żadnej pod ręką. Jakże mógł stoczyć walkę z tym cieniem, który ścigał go, o ile się zdawało. Byłby poznany niezawodnie, i zgubiłby na wieki kobietę nieszczęśliwą, która zaufała jego honorowi.

Mąż nie spotkał go na szczęście. Miał czas wymknąć się, zanim doszedł do apartamentu hrabiny. Marietta dobrze pilnowała, i dość wcześnie ich ostrzegła. Był więc pewny, że hrabia de Trameillan dotąd niczego się nie domyśla, a ten cień goniący, to może jeden z ogrodników, który bierze nocnego intruza, za prostego złodzieja.

Biegł więc dalej ku bliskiemu zagajeniu, a wiele razy spojrzał po za siebie, cień złowrogi mignął mu zawsze w równem oddaleniu. Dopadł do krzaków. W biegu szalonym kaleczył sobie twarz i ręce gałęźmi ciernistemi, które łamał i rozsuwał. Zdawało mu się, iż goniący zgubił trop, bo jakoś cicho zrobiło się wkoło niego. Stanął właśnie na małej łączce, krzakami niezarośniętej, i jak jeleń wspaniały, gdy potrafi wymknąć się sforze ogarów, podniósł śmiało głowę i odetchnął całą piersią, orientując się, gdzie się obecnie znajduje.

Krótko atoli trwał odpoczynek. Drgnął usłyszawszy za sobą łomot, jakby ktoś przez krzaki się przedzierał.

Hałas zbliżał się; w brzasku porannym dojrzał wyraźnie w krzakach przydrożnych poruszenie. Nie można było wątpić. Ktoś ściga go dalej wytrwale. Rzucił się w las, biegnąc prosto przed siebie.

Kierował się instynktem, nie wiedząc zupełnie, gdzie się znajduje. Liczył na to tylko, iż potrafi tak zmęczyć swojego prześladowcę, iż da w końcu za wygranę. Przy-

puszczał również, iż ten „ktoś“ nie ma broni, gdyż byłby jej dawno użył. Nie wiedział, iż węglarka nie chciała, aby trupa jego znaleziono na territorium hr. de Trameillan.

Puścił się teraz linją przez las wyciętą, a ponieważ tą drogą nikt nigdy nie jeździł, była miękka, trawą i mchem porosła. Las skończył się niebawem, a przy rogatce stał poczwórny drogoskaz. Pan de Mortrée nie miał atoli czasu odczytać napisy, wypadł więc na pole świeżo zorane, należące (tak sądził) do wsi Laval, która do jego pól dotykała.

Droga była zawalona drzewem ściętem, musiał więc zrobić koło, przeskoczyć fosę szeroką, i dalej po świeżej oraninie pomykać. Tutaj w miękkiej ziemi zgubił jeden trzewik, tu również był kres, na który czekała węglarka.

Oboje byli bez tchu, bez sił, pomęczeni okropnie. Genowefa atoli wiedziała o stosach drzewa w tem miejscu. Puściła się więc na przełaj ścieżką boczną, i gdy p. de Mortrée z fosy wyskakiwał, ona już leżała w krzakach, dysząc całą piersią, z oczami krwią nabiegłemi, jakby ją kto dusił za gardło.

Pole dotykało wąwozu, przez lud okoliczny „Kocim skokiem“ nazwanego. Od drogi było żywopłotem i rowem głębokim oddzielone. Pan de Mortrée podniósł jedną nogę, aby płot przeskoczyć, gdy padł strzał, a on bez jęku stoczył się w rów, którym gościniec do Marnes prowadzący był okopany.

Węglarka nagle siły odzyskała. W kilku susach była już nad brzegiem rowu. Widziała, jak upadał, kto wie jednak czy zabity. Czy może tylko ranny ciężko i ogłuszony? Zrobiło się zupełnie jasno tymczasem. Zeszła ostrożnie do rowu. Hrabia leżał twarzą do ziemi; kula trafiła w samo czoło powyżej skroni. Uśmiech dziki, szatański, usta jej wykrzywił. Dla lepszej pewności, położyła rękę na lewy bok; serce hrabiego de Mortrée na wieki bić przestało!

Zarzuciła na ramię karabinek, i chyłkiem, milczkiem, napowrót pomknęła ku ciemnemu borowi.

XXXI.

Tego samego dnia hrabinę de Trameillan do Włoch wywieziono.

Niespełna we dwa tygodnie Jakób Torquenié był już przyaresztowany, a Marietta nie żyła. Węglarka nie zasypiała gruszek w popiele! Na prawo i lewo, zręcznie i przebiegle, rozsiewała wieści o romansie Marietty z nieboszczykiem, i o wściekłej Jakóba zazdrości. Biedna Marietta zawlokła się jeszcze do domu po scenie straszliwej hrabiego de Tramaillan z nieszczęśliwą jego żoną, tu atoli padła na łóżko zemdlona, zapomniawszy nawet drzwi zamknąć na klucz, i już do samej śmierci, leżąc w silnej gorączce, przytomności nie odzyskała. Jakób, który właśnie tej nocy śledził w dalszym lesie złodziei, zastał już w domu, wróciwszy z wycieczki, Genowefę zainstalowaną przy łóżku żony.

— Przechodziłam tędy, przed wschodem słońca, zbierać zioła dla chorych — wytłumaczyła mu tak ranną wizytę — a usłyszawszy stękanie żony waszej, i widząc drzwi niezamknięte, zajrzałam do środka. Ma się rozumieć, iż już zostałam, aby biedaczkę pielęgnować. Wy mężczyźni lubicie żony zdrowe, ale z choremi nie możecie sobie dać rady!

Karabinek dawno już znalazł się w szafie Jakóba, czarny od prochu świeżo wystrzelonego.

Od chwili okropnego wypadku i żony odjazdu, hr. de Trameillan popadł w dziwną melancholję. Chmurny, milczący, siedział wiecznie w jednem z okien zamkowych, i czas mu schodził na ponurem dumaniu. Czasem wpadała do niego na chwilę węglarka, ale nic jej nigdy nie odpowiadał, i nawet na jej widok ze wstrętem się odwracał.

Ona przeciwnie nie traciła bynajmniej animuszu, i z równą zawsze energją krzątała się, aby zatrzeć ślady zbrodni. Mimo iż hrabia zbywał ją teraz najczęściej milczeniem, lub krótką, mrukliwą odpowiedzią, nie zdawała się na to zwracać uwagi; była gotową jak dawniej, poświęcić wszystko dla pana swojego. Czasem, gdy był więcej rozdrażniony i niespokojny, uspokajała go, szepcząc do ucha:

— Nie bójcie się panie niczego! wszystko idzie dobrze!

J z cichem rychotaniem opowiadała swoje wykręty, aby cały ciężar zbrodni zrzucić na niewinnego.

Razu pewnego wpadła do zamku późnym wieczorem. Była jakaś nie swoja i mruczała pod nosem coś niezrozumiałego. Uderzył hrabiego jej niepokój i dziwne wahanie.

— Cóż cię dzisiaj stara napadło? — spytał raczej z trwogą, niż z gniewem. — Czy jest co nowego?

— A jest panie nowina... — spuściła oczy, w ziemię zapatrzona. — Marietta... Bogu ducha oddała...

Hrabia wolniej odetchnął. Bał się najwięcej Marietty wyzdrowienia i jej zeznań. Zaniepokoiło go jednak wahanie i mina dziwna węglarki. Chwycił ją za ramię, podniósł głowę, i w oczy bure popatrzył.

— Spodziewam się, żeś jej przecie nie uśmierciła? — rzekł tonem ostrym.

— Gdyby wyzdrowiała — węglarka odpowiedziała wymijająco — byłaby z pewnością wygadała się ze wszystkiem... a wtedy przepadlibyśmy z kretesem!...

Hrabia pozieleniał. Wlepił w nią wzrok przerażony, obłąkany. Nie zganił jednak ani jednem słowem tej nowej zbrodni, ust drżących nerwowo nie otworzył. Zrozumiał całą fatalność położenia, zrozumiał, iż trzeba było usunąć Mariettę za jaką bądź cenę! Był to świadek jedyny jego sceny z żoną... Skoro ona nie żyje, hańbę jemu wyrządzoną i zemstę krwawą, okryje wieczna tajemnica. Jakże mógł wziąć to za złe, poświęcającej się dla niego Genowefie?!

Rozpoczął się proces, i Jakób został na lat dwadzieścia skazany, dzięki szczególniej zeznaniom węglarki.

Hrabia de Trameillan przyjął z krwią zimną wyrok niesprawiedliwy, pozwolił na tę infamję, żeby człowiek niewinny cierpiał i pokutował za zbrodnię, którą on pochwalił i prawie nakazał! Może sądził, iż słów kilka

najpospolitszych, które raczył niby to w obronie Jakóba przed sądem wypowiedzieć, co zresztą pisze się każdemu w zaświadczeniu: „że był sługą wiernym i uczciwym,“ wystarczy zupełnie, aby zmazać grzech ciężki, którym obciążył sumienie.

XXXII.

Nie łatwo i nie prędko wydobył Armand z węglarki to długie i szczegółowe zeznanie. Gdy wreszcie wszystko wypowiedziała i protokół podpisała własnoręcznie, siły ją opuściły, i pochyliła się bardziej jakby ręka żelazna nad nią zaciężyła.

— Nie mamy już tu co robić — szepnął Armand. — Jedźmy panowie.

W ogródku czekał na nich Pawełek. Armand wetknął mu znowu w rękę pół-franka.

— Biegnij do Bonnières natychmiast! Poproś księdza Dubois, żeby przyjechał wyspowiadać umierającą.

Chłopiec rzucił okiem w głąb izby, i przerażony widokiem Genowefy, popędził co tchu w kierunku wskazanym.

Po drodze, Armand i dwaj jego towarzysze, rozmawiali ciągle o ważności zeznań węglarki. Teraz Armand zrozumiał słowa księdza. P. de Trameillan nie popełnił wprawdzie wprost obydwóch zbrodni, winy jego atoli to nie zmniejszało w oczach Armanda. Czyż nie przyzwolił na wszystko i nie dopuścił z krwią zimną, żeby lat tyle cierpiał niewinny?

Urzędnicy do Rennes wrócili, Armand zaś boczną ścieżką prosto do Mesnil pieszo podążył. Wysiadając z powozu, prosił ich raz jeszcze o najgłębszą tajemnicę. póki nie porozumieją się, jakby można najlepiej tą sprawą pokierować.

Wracał do domu na obiad. Krzyknął zdziwiony, gdy wchodząc do sali jadalnej, zobaczył przy stole obok swojej matki Walentynę.

— Widzisz synu, jaką ci niespodziankę zgotowałam — uśmiechnęła się jak zwykle pani d'Arçay. — Walusia chciała mi się wymknąć, alem ją aż do wieczora zatrzymała. Iwona ją odwiezie. Wymówiłam jej, że tak dawno u nas nie była.

Armand wpatrywał się z niepokojem w oczy z płaczu podpuchnięte, w twarzyczkę zmizerniałą, z rumieńcami gorączkowemi Walentyny. Dobroduszna naiwność i niewiadomość pani d'Arçay, dodawała jeszcze grozy straszliwszej, do ich i tak dość przykrego położenia. Armand wszystkiego bez słów się domyślił. Walentyna wykradła się na chwilę z zamku, oszukawszy czujność hrabiego posiepaczów, aby z nim tylko, tak jak w Rennes, zobaczyć się i porozumieć. Traf nieszczęsny sprowadził ją z panią d'Arçay. Przez godzin kilka, z sercem bijącem, z głową pałającą, musieli oboje grać komedję i spokojność udawać. I Walentyna odgadła na pierwszy rzut oka po minie pani d'Arçay, że dotąd syn jej oszczędził wieści hiobowych, o sprawie w toku będącej.

Podniosła się wreszcie pani d'Arçay i wyszła pod pozorem wydania rozkazu komuś, a właściwie, aby „parkę gołąbków“ zostawić na chwilę samych, niech gruchają do woli!

— Chodźmy do ogrodu! — zawołała Walentyna. — Ten przymus jest nad moje siły! Duszę się! ginę!

Skoro znaleźli się sami na ławeczce, zakryci gęstym drzew szpalerem, Walentyna porwała go za obie ręce:

— Nie pytaj mnie o nic! tylko mów! mów! czy prędko skończy się moja męka piekielna?!

Jak mógł najzwięźlej, obznajomił ją z zeznaniem węglarki.

— Wszystko dobrze się skończy najdroższa! — przycisnął ją do piersi z zapałem. — Kocham cię sercem całem, i miłość moja wynagrodzi ci w przyszłości to, na co dziś jesteś narażona. Jutro udam się do hrabiego, z protokółem spisanym urzędowo, podług słów Genowefy. Wyjedzie, a wtedy postaramy się zrzucić wszystko na węglarkę, aby hrabia wyszedł o ile można czysty z tej sprawy.

— Ależ on i mnie z sobą zabierze! Groził mi klasztorem, domem obłąkanych, daleko, daleko! gdzieby nikt się o mnie nie upomniał, nikt nie mógł odszukać!

— Czyż tak mało ufasz mojej miłości najdroższa?! Odszukam cię choćby na krańcu świata! Dzięki Bogu! minęły czasy średniowiecznego barbarzyństwa, kiedy ojcowie, wedle dzikiego kaprysu, dziećmi rozporządzali. Ty, wiem, że mi bądź co bądź wierną pozostaniesz, miejże równie do mnie zaufanie.

— Nie mówisz mi prawdy! — skłoniła główkę, płacząc na jego ramieniu. — Czuję w głębi serca, że ta sprawa nieszczęsna, to przepaść bezdenna, dzieląca nas na wieki! Starasz się mię złudną nadzieją odurzyć, abym cię nie męczyła i nie żądała odstąpienia od procesu, którego podjąłeś się na naszą najwyższą niedolę!... ale cicho!... szelest słyszę!... to pewno on! szuka za mną!... O Boże! mój Boże!...

Przytuliła się do Armanda drżąca i przerażona. W rzeczy samej, w pomroku wieczornym, jakaś postać mglista zarysowała się na początku szpaleru.

— Wybaczcie mi państwo, że wam śmiem przeszkodzić — odezwał się cicho i smutno Torquenié. — Wysłuchałem mimowoli całą waszą rozmowę, i serce mi się krwawi na myśl, ile przezemnie cierpicie! Jakże musisz złorzeczyć piękna pani temu biedakowi, który stanął jak cień złowrogi między wami! Gdyby nie moja Joasia, nie moje dziecię jedyne, nie dałbym się prześcignąć w szlachetności panu d'Arçay, zniknąłbym na zawsze, aby...

— Nigdy, nigdy! mój przyjacielu! — Armand żywo zaprotestował — dla siebie samego musiałeś starać się o czci utraconej przywrócenie, a ja spełniam tylko synowską powinność, naprawiając mimowolny błąd ojca mojego i...

— Armandzie! Armandzie! — krzyknęła Walentyna, chwytając go za ramię kurczowo — teraz na pewno hrabia tu idzie!

Istotnie od głównej bramy, majaczyła w dali wyniosła i barczysta postać pana de Trameillan, który szybko dążył do ich ławki.

Armand nie stracił krwi zimnej i przytomności.

— Jeżeli winien mi jesteś jaką wdzięczność — zwrócił się ku Jakóbowi — odprowadź do zamku moją narzeczonę tak, żeby nikt jej nie zobaczył. Powierzam ci skarb mój najdroższy!

Jakób porwał Walentynę omdlewającą, jak dziecię na ręce, i puścił się na przełaj ku zamkowi d'Albray.

XXXIII.

Na dwa kroki od Armanda zatrzymał się hrabia, i przemówił jak zawsze wyniośle, tonem rozkazującym, biorąc go za jednego ze sług dworskich.

— Chcę widzieć się z panem d'Arçay. Powiedz mu, że hrabia de Trameillan czeka tutaj na niego!

— Jestem na usługi pana hrabiego w własnej mojej osobie — Armand przemówił.

Hrabia drgnął, głos poznawszy, i upadł bez tchu na ławkę, gdzie przed chwilą siedziała Walentyna.

— Domyślasz się pan zapewne, co mnie tu spro-

wadza. Byłem w Bonnières, a nie zastawszy w domu proboszcza, wstąpiłem po drodze do biednej kobiety, umierającej także z pana łaski! Trwasz więc pan w uporze? Nie szanujesz ani spokoju umarłych, ani cię nie przeraża agonja biednej staruszki?! Można panu powinszować szatańskiej przebiegłości, z jaką odniosłeś tryumf, nad wiernością lat kilkudziesięciu! Wyłudziłeś zeznania na staruszce zdziecinniałej i dogorywającej!

— Pańskie szyderstwo bynajmniej mi nie ubliża — odparł Armand spokojnie. — Użyłem sposobów najskuteczniejszych, aby kobietę zfanatyzowaną, ale i zabobonną, nakłonić do zeznań. Każdy człowiek uczciwy czyn mój pochwali, a sprawę to ułatwi nadzwyczajnie.

— Nie ciesz się pan przedwcześnie! — hrabia rzucił na niego wzrokiem ponurym. — Myślisz, iż trzymasz pod lufą starego odyńca, a tymczasem strzał twój może zranić śmiertelnie zupełnie inną osobę!

Armand lżej odetchnął. Widocznie hrabia nie wie nic o wycieczce do Mesnil Walentyny.

— O kim pan myślisz? — spytał.

— O pannie de Trameillan! — szepnął hrabia. — Umiera! a śmierć jej przedwczesna, pańskiem jest dziełem chwalebnem! Mnie pan zgubić nie potrafisz, ale ją zabijesz!

Ten wybieg podstępny i podły, oburzył Armanda w najwyższym stopniu. Zerwał się na równe nogi i zawołał gniewem uniesiony:

— Skłamałeś panie hrabio! — Walentyna cierpi wprawdzie na nieszczęśliwy zbieg wypadków, które czynią z nas wrogów pozornie, ale ufa mojemu słowu i wierzy, że prędzej czy później, żoną moją zostanie! Nie myśl pan, iż nic nie wiem! Mam i ja moich szpiegów, którzy mi pilnie donoszą, co się w zamku d'Albray dzieje!

Ten wybuch niespodziewany a gwałtowny, zmięszał nie mało hrabiego. I on powstał, zdjął kapelusz, otarł czoło potem zroszone, i nazad usiadł na ławce, czując, że nogi drżące nie są wstanie go utrzymać. Gdyby nie ciemność wkoło panująca, Armand byłby się naocznie przekonał, że tych dni kilka i na tym starcu, wycisnęły piętno niestarte. Oczy mu w głąb zapadły, twarz pożółkła, włos jak mleko zbielał.

— Chcesz mię więc zgubić koniecznie?! — hrabia spytał głucho.

— Przeciwnie! zaklinam cię panie hrabio raz jeszcze, usuń się za granicę na czas procesu, a postaramy się, żeby jak najmniej miał rozgłosu. Pańskie właśnie pojawienie się i obrona, skandal uczynią głośnym i publicznym.

— Śmiesz więc pan powtórzyć radę nikczemną?! — hrabia tupnął nogą z całej siły — którą raz już z pogardą odrzuciłem?! Czyś myślał istotnie dzieciaku, że tak łatwa sprawa z hrabią de Trameillan, że lada językowi adwokacika poczynającego, uda się go zwalić na ziemię i ubezwładnić?! Ho! ho! Zobaczymy mój paniczyku, kto z tej walki wyjdzie gorzej pokaleczony!

— Za tydzień panie hrabio dostaniesz cytację do sądu.

To były ostatnie słowa Armanda, któremi pożegnał hrabiego. Zobaczyli się dopiero w sali sądowej.

Po odejściu hrabiego, Armand pozostał na miejscu, czekając na powrót Jakóba. Zjawił się wkrótce, biegnąc co tchu, aby zawiadomić o wszystkiem swojego dobroczyńcę.

— Panna Walentyna jest już w swoim pokoju — rzekł głosem urywanym. — Zadzwoniłem tak silnie u głównej bramy, iż cała służba się zbiegła. Prosiłem o jałmużnę, której mi nie dano ma się rozumieć, tylko psami poszczuć chcieli, a tymczasem panna Walentyna boczną furtką wpadła do parku, przez nikogo nie dostrzeżona.

XXXIV.

Wkrótce Jan Gerard taki list odebrał od przyjaciela z Rennes.

„Mój druhu kochany!“

„Zbliża się chwila najboleśniejsza w życiu mojem. Potrzeba mi twojej wesołości niezwyciężonej, przyjaźni wypróbowanej, jednem słowem: Ciebie całego! Nie odmawiaj i przyjedź, gdyż biednym się czuję i smutnym śmiertelnie! Długo! długo! wszystko przed matką ukrywałem. Dzięki jej... może trochę dziecinnej dobroduszności, udawało mi się to czas jakiś, ale wreszcie uderzyło ją zerwanie stosunków z zamkiem d'Albray, odwlekanie w nieskończoność dnia ślubu mojego... Musiałem więc wyznać jej wszystko, zataiwszy tylko wpływ ojca mojego na tę sprawę. I tak dość ją ten cios dotknął! Liczę również na ciebie, że ją potrafisz pocieszyć i uspokoić. Jam na to za słaby i za wiele sam cierpię!“

„Do zobaczenia drogi! twój Armand.“

Jan obrócił płótnem do ściany obraz zaczęty, osłonił sztalugi, i opakowawszy nie wielki kuferek, poleciał na kolej, aby pierwszym pociągiem do Rennes odjechać.

Znalazł Armanda okropnie znękanego fizycznie i moralnie. Sprawa się miała zacząć 9. października. Armand opowiedział wszystko przyjacielowi, do szczegółów najdrobniejszych.

— Zachowanie się hrabiego — mówił Armand — jest nikczemne w najwyższym stopniu! Po arogancji, z jaką mnie zrazu traktował, spodziewałem się przynajmniej, że weźmie na siebie morderstwo pana de Mortrée, i rzuci w oczy sędziom, iż miał prawo do tego, będąc przez niego tak ciężko skrzywdzonym. Tymczasem, skoro badania sądowe rozpoczęto, schował — mówiąc po prostu — pazurki, i cały zasłonił się Genowefą, niby parawanem. Jak katarynka przez swojego pana nakręcona, węglarka zeznania pierwotne odwołała, tłumacząc się, iż wtedy tak ją przestraszyłem wiadomością o nagłej śmierci hrabiego, iż do reszty przytomność straciwszy, sama nie wie co poplotła. Teraz bierze na siebie całą odpowiedzialność. Opowiada, że doszły ją były głuche wieści, iż za obrazę wyrządzoną mu u jednego ze sąsiadów, hrabia de Mortrée myśli o wyzwaniu pana de Trameillan. Uniesiona przywiązaniem do swojego pana, czatowała póty, póki nie złapała nad ranem hrabiego de Mortrée, snującego się w okolicy parku d'Albray, co sobie wytłumaczyła, iż nastaje zapewne na życie jej pana, gdyż ten bić się nie chce z panem de Mortrée, uważając go za człowieka bez honoru. Wtedy strzeliła do niego raz pierwszy, ale nie trafiła; nabiła znowu karabinek, w tym celu wzięty podstępnie i bez wiadomości czyjejkolwiek z domu Jakóba, i w pogoń się puściła za uciekającym. Pan de Mortrée zrzucił surdut, aby mu lżej było, aż wreszcie zaczepił się o płot nad rowem i tam go dosięgnął strzał drugi.

Hrabia de Trameillan, pytany z kolei, okazał się dumniejszym i mniej przystępnym, niż kiedykolwiek. Wiedział z góry, iż może liczyć na ślepe posłuszeństwo, i poświęcenie bez granic węglarki. Odrzucił zuchwale i z arongancją niezrównaną, wszelkie wspólnictwo w zbrodni dokonanej. O niczem do dziś dnia nie wiedział. Genowefa zaś od dawna będąc niespełna zmysłów, przed dwudziestu laty w jakimś napadzie

szału dzikiego, popełniła z krwią zimną i na własną odpowiedzialność morderstwo podwójne, a i teraz naplotła rzeczy niestworzone, o których nigdy się nikomu nie śniło! Łatwo zrozumiesz, jak trudnem było sędziów zadanie po latach dwudziestu, gdy już wszyscy dawniejsi świadkowie pomarli. Nacisk główny na tej kwestji spoczywał, czy Torquenié winny, czy niewinny? Zeznania podwójne węglarki, pod tym względem żadnej wątpliwości nie zostawiały. Trzech ludzi tylko całą prawdę znało: Ksiądz Dubois, ja i pan Rousseau. Wiedziałem atoli, że żaden z nas tego nie wyjawi. I tym sposobem, węglarka będzie zasądzoną, a kara znowu ominie głównego w tej sprawie — według zdania mojego zbrodniarza.

— Eh! Cóż cię to ma obchodzić kochany Armandzie! Bądź, jak bądź, twoja narzeczona nosi nazwisko Trameillan'ów. Lepiej więc zawsze, iż hrabia wyjdzie cało z tej sprawy.

— Ale jakiż to tchórz nikczemny!

— Ba! Pociesz się tem, iż nie jest ojcem swojej córki!

— Zapewne! — Armand uśmiechnął się z dziwnym smętkiem i troską na czole.

XXXV.

Dziewiątego października niebo było chmurne i od nocy rosił drobny, ale przenikający do szpiku i kości kapuśniaczek.

Wysoka i obszerna sala sądowa w Rennes, spoczywała w szarym pomroku, niby świątynia gotycka, o sklepieniu poczerniałem, z oknami na ciemno pomalowanemi.

Deszcz o szyby uderzający, tworzył rodzaj akompaniamentu, do głosu zmęczonego i bez dźwięku, którym przewodniczący sądowi, wypytywał obwinioną i świadków.

W pośród szarej mgły, która nie tylko na dworze panowała, ale wcisnęła się również do sali, rysował się niepewnemi konturami krzyż wielki, czarny, pod ciałem Chrystusa z kości słoniowej. Pod nim siedzieli w togach trzej sędziowie rządowi, dalej sędziowie przysięgli, po części zaciekawieni, a po części znudzeni. W głębi na ławie, pomiędzy dwoma żandarmami, siedziała postać skulona, zgarbiona, jakby pakiet czarnych szmat w płaszcz zawiniętych; była to węglarka, której kapiszon twarz całą zakrywał.

W sali głów było nie wiele. Kilka starych włościan, którzy jeszcze pierwszy proces pamiętali, i Jakób Torquenié, spokojny, w nastroju uroczystym. Wzrok jego przechodził kolejno z sędziów na krucyfiks, następnie na Armanda, i na tę ławę nieszczęsną, gdzie sam siedział przed laty dwudziestu. Niby we śnie, niby na jawie, widział tę chwilę straszną i dreszcz śmiertelny po ciele mu przechodził.

Trochę w głębi przygotowano fotel dla hrabiego de Trameillan. Siedział w nim zimny, sztywny, oderwany myślą od całego otoczenia. Ubrany był wykwintnie, a ręce obie i brodę spierał na dużej lasce bambusowej, z gałką złotą, misternej roboty. Twarz jego nie zdradzała żadnego wzruszenia, unikał tylko starannie widoku węglarki. Był na świadka wezwany.

Na ławce adwokatów siedział pan de Vallières, zaszczycany zaufaniem i klientelą całej arystokracji okolicznej. Temu powierzył hr. de Trameillan obronę węglarki. Przybył i pan Rousseau, złamany i schorzały, ale któremu od czasu do czasu, podczas rozprawy ostatecznej, dawnym błyskała ogniem, zamarła na pozór źrenica, wreszcie Armand d'Arçay, blady znękany.

Posiedzenie trwało nadzwyczaj krótko, jakby sobie słowo dali, żeby nie przeciągać struny drażliwej.

Przewodniczący porozumiał się z prefektem miejscowym i innemi władzami. Spaktowano sobie naprzód całą prasę, aby w żadnym z dzienników sprawozdania z procesu nie było. Wszystkim na tem zależało, aby załatwić się ze sprawą prędko, cicho, przy drzwiach zamkniętych, o ile się da tylko.

Przesłuchanie węglarki stanowiło punkt kulminacyjny, bo jej zeznania uwalniały głównie Torquenié'go. I tutaj był widocznym pospiech ze strony przewodniczącego.

Wezwał ją aby wstała i twarz odsłoniła. Żandarmi musieli ją podpierać, bo nie mogła utrzymać się o własnych siłach. W twarzy było już piętno śmierci, tylko oczy trochę życia zdradzały, biegając w koło, z wyrazem pewnej trwogi, ale i chytrości jednocześnie. Spotkała się z wzrokiem hrabiego, który w nią się badawczo wpatrywał. Drgnęła i głową skinęła nieznacznie, na dowód poddania się ślepego jego rozkazom i mimo osłabienia, zaczęła odpowiadać głosem stłumionym wprawdzie, ale głośno i wyraźnie.

Pan Rousseau i Armand, nie mogli dość nadziwić się, znając dokładnie szczegóły krwawego dramatu, jaką krew zimną i przytomność umysłu, zachowała do ostatniej niemal chwili, ta kobieta umierająca.

Powtórzyła wszystko podług instrukcji hrabiego, a skończyła, przepraszając pokornie, najprzód Boga, potem pana swojego, że opętana od złego ducha, mogła napleść kłamstwa podobne, na hrabiego i na hrabinę, która była iście świętą panią!

Zaczęła łkać głucho, co wywołało nie małe wrażenie w nielicznem audytorjum. Hrabiemu ani jeden muszkuł nie drgnął w twarzy marmurowej.

Gdy na niego kolej przyszła złożyć świadectwo, powstał, zdjął powoli rękawiczki i włożył do kapelusza. Ruch każdy, był na pozór najspokojniejszy, ale badacz bystry, byłby dostrzegł pod tą powłoką lodowatą, burzę wrącą w łonie, którą tłumił gwałtem w głębi serca.

Powtórzył słowo w słowo zeznanie drugie Genowefy. Nienawiść z ojca na syna przechodząca między rodami de Mortrée i Trameillan'ów, jest znaną w całej okolicy. Nieraz w poufnych pogadankach, ze starą, wierną sługą, wywnętrzał się z uczuciem goryczy, co do postępowania w obec niego pana de Mortrée, nigdy jednak nie przypuszczał, żeby Genowefa, tak to sobie wzięła do serca. Biedna kobieta w wojnie wandejskiej, dostała w głowę cięcie pałaszem. Odtąd nieraz szał ją dziki opanowywał. W takim napadzie zamordowała pana de Mortrée, a że każdemu życie miłe, starała się zwalić winę na innego i następnie Mariettę otruła, ażeby jej przed mężem nie zdradziła, że wzięła jego karabinek. Hrabia prosił na końcu o pobłażliwość dla starej, wiernej sługi, która głównie zgrzeszyła zbytnią, o dobro, swojego pana gorliwością i przesadzonem do niego przywiązaniem. On pomny na lat tyle wiernej służby, przebacza jej wspaniałomyślnie kłamstwa ohydne, których się dopuściła, oszołomiona nowym napadem szaleństwa.

— Chociaż mało się zawsze udzielałem, znany jednak w kraju mój ród i moje stosunki — kończył hrabia. — Wiedzą wszyscy, jak drogą mi była święta istota, którą Bogu podobało się wcześnie powołać do nieba, jej prawdziwej ojczyzny. Śmierć ta zostawiła mi w sercu ranę tak głęboką, a w życiu taką próżnię, iż nigdy niczem zapełnić jej nie mogłem

Myślę, iż zbytecznem byłoby się zastanawiać, nad bezpodstawnością kłamstwa ohydnego, którego dopuściła się w tym wypadku, biedna, stara warjatka.

Hrabia, jakby nie mógł dłużej powstrzymać głębokiego rozrzewnienia, chustką batystową oczy sobie zasłonił i przestał mówić; przewodniczący poprosił go nader grzecznie, żeby usiadł i raczył się uspokoić. Zapewnił go następnie, iż nikt wiary nie dawał kłamliwym oskarżeniom, które zresztą Genowefa Tinnet solennie odwołała, publicznie pana swojego błagając o przebaczenie.

Przesłuchano Torquenié'go. Mimo iż przewodniczący silił się, aby okazać zupełną bezparcjalność, czuło się pewną gorycz i rozdrażnienie w pytaniach, które zadawał Jakóbowi, jakby go uważał za intruza nieznośnego, który wychodzi z galer po latach dwudziestu na to tylko, aby zniszczyć Nimbus, otaczający dotąd instytucję sądową, aby wykazać, iż i ona, jak wszystko co ludzkie, jest słabą, podpadającą omyłkom fatalnym, iż i ona częstokroć powoduje się li kaprysem i namiętnością.

Torquenié odpowiadał z godnością i spokojem niewzruszonym. Nikogo nie oskarżał, ani sędziego śledczego, który go brał niemal na tortury, ani sędziów przysięgłych, którzy go niewinnie zasądzili. Czuł, iż nadeszła godzina odkupienia po długiej męce i wszystkim przebaczał wspaniałomyślnie. Wykazał tylko całą swoją niewinność, a zakończył temi słowy:

— I Marietta moja padła ofiarą niegodziwego oszczerstwa. Była to istota dobra i czysta jak anioł!

Wzrok łzawy wzniósł w górę i usiadł na swojem miejscu z ciężkiem westchnieniem.

Prokurator państwa, odczytał akt oskarżenia. Jakże był zwięzły, jak łagodny w porównaniu z owym, pełnym ognia namiętnego, którym przed laty dwudziestu, potępiono bez miłosierdzia niewinnego! Wychodził z tego samego punktu widzenia, że szał, częścią pochodzący z fanatycznego przywiązania, częścią osłabieniem mózgu spowodowany, był główną przyczyną podwójnego, ohydnego skrytobójstwa. W obec zeznań Genowefy Tinnet (nazywanej pospolicie węglarką, lub „szczurem leśnym") nie można wahać się ani chwili, z powróceniem czci należnej, niewinnie zasądzonemu. Gdyby to się było wykryło przed laty dwudziestu, byłby wniósł przeciw zbrodniarce karę śmierci. Dziś atoli, sąd ma przed sobą staruszkę złamaną, blisko stuletnią, której godziny i tak policzone. Wkrótce stanie przed sędzią najwyższym i najsprawiedliwszym, który jeden, jako istota doskonała, jest nieomylnym. Wnosi zatem prośbę o pewną pobłażliwość i o więzienie dożywotnie.

Zadanie obrońcy oskarżonej było wielce ułatwione samym aktem oskarżenia. Uderzył i on w tę samą stronę osłabienia umysłowego od lat lat dawnych, u jego klientki. Rozwodził się następnie długo i szeroko, sypiąc kwiatami retoryki, jak to już dziś rzadkie, podobne Genowefie przywiązanie, jak powoli, powoli, znikają starzy słudzy poczciwi, gotowi oddać wszystko panu swojemu, nawet życie własne dla jego dobra ofiarować! jak wszystko się zaciera, co było pięknem i wzniosłem! w czem ludzie wyżsi duchem, swój ideał widzieli. Dzisiejszem hasłem: „Naprzód! Naprzód!" — choćby po za sobą świat w gruzach zostawić, dzisiejszym ideałem, Bogiem jedynym: Mamona! Z fanatyzmu popełniła zbrodnię podwójną, ale jej całe życie zresztą, było wzorowe! Poświęcała się, lecząc biednych, przytuliła i wychowała sierotę, od wszystkich opuszczonego, Pawełka Dalot. Świeciła przykładem na całą okolicę, rzadkiem miłosierdziem, nadzwyczajną pobożnością. Któż zresztą zbadał tajemniki serca ludzkiego? Kto odgadł i przeniknął jej noce bezsenne i dnie pędzone w ciągłej trwodze, z widmem krwawem przed oczyma duszy? Czyż nie mogłaby, (gdyby nie była prostą kobietą z ludu) razem z Dantem zawołać: „Za życia przeszłam przez piekło!"... Prosi zatem o miłosierdzie, o sąd łagodny, dla tej duszy zbłąkanej wprawdzie chwilowo, ale zbłąkanej przez zbytek miłości, przez zbytnią chęć poświęcenia się dla dobra pana swojego!...

Koło trzeciej z południa zapadł wyrok na lat dziesięć więzienia dla obwinionej.

Nie drgnęła, nie odezwała się ani jednem słowem. Zachowała się nieruchomo, jakby posąg z kamienia.

Żandarmi wynieśli ją prawie z sali. Hrabia de Trameillan powiódł za nią okiem szklannem, obojętnem. Twarz jego również, ani na włos się nie zmieniła. Siedząc wygodnie w fotelu, ani się ruszył, żeby pożegnać odchodzącą.

W dni kilka znaleziono w kaźni więziennej Genowefę nieżywą. Śmierć zaskoczyła ją w postawie klęczącej. Dłońmi obiema tuliła do piersi szkaplerz i różaniec. Były to jeszcze relikwie z wojny wandejskiej.

I hrabia de Trameillan tuż za nią pospieszył. Po skończonym procesie, wybrał się za granicę, pod pozorem, że chce córkę hrabiemu de Chambord przedstawić, a w rzeczywistości, aby ujść przed Armandem d'Arçay, który odgrażał się, iż jeżeli nieprzystanie dobrowolnie na ślub z nim Walentyny, użyje dokumentów przeciw niemu, które pan Rousseau ma w rękach. Hrabia był zdecydowany na wygnanie dobrowolne do końca życia, byle Walentyny nie oddać Armandowi. Raz atoli, polując z Chambord'em, spadł z konia tak nieszczęśliwie, że kość pęknięta w kolanie, wymagała amputacji. Ma się rozumieć, iż w wieku tak późnym, nie przeżył operacji i w dni kilka zginął w mękach okropnych.

Walentyna w towarzystwie dalekiej krewnej matki, damy w wieku poważnym, wróciła do zamku Albray, aby tam czas żałoby spędzić.

Nie miała powodu smucić się śmiercią człowieka, który ani krwią, ani sercem, nie był jej nigdy ojcem. Czuła jednak potrzebę cichości i wypoczynku, tak fizycznie jak i moralnie, po tylu wstrząśnieniach gwałtownych. Jedynymi jej gośćmi byli przez ten rok, pani d'Arçay z synem, jedyną wycieczką Mesnil i leśniczówka, gdzie napowrót osadziła Jakóba Torquenié i jego córkę.

Skończyła się wreszcie żałoba i zacny ksiądz Dubois, związał stułą na twardo (jak obiecywał niegdyś) w kaplicy zamkowej ręce Armanda i Walentyny, których miłość wzajemna, jak złoto z ognia, wyszła jeszcze silniejsza i promienniejsza, po tylu próbach i przeciwnościach.

Kaplica gorzała światłem, woniała wieńcami kwiatów, ręką jedynej drużki, Joasi Torquenié uwitych.

Świadkami ślubu byli: Jan Gerard i Jakób Torquenié.

K o n i e c.

Alfa.

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

XVIII.

Munito leciał raczej niż biegł przez las. Przeskakiwał rowy, przedzierał się przez gęstwiny, jak dzik goniony przez psy. Ale zamek de Planche-Mibray był jeszcze daleko.

Nagle zdawało mu się, że słyszy szmer jakiś. Zatrzymał się.

Był to tętent kopyt końskich, odbijający się na ziemi kamienistej i nierównej w lesie.

Cygan sądził, że to żandarmi.

Położył się na brzuchu za krzakiem, o dziesięć kroków od drogi i czekał. Tętent zbliżał się. Munito nadsłuchując, z okiem pałającem, leżał nieporuszony, jak zwierz dziki, wyczekujący swojej zdobyczy

Nagle błyskawica rozjaśniła las cały.

Przy świetle tej błyskawicy, spostrzegł Munito profil czarny dwóch jeźdźców na drodze leśnej, przy której się położył.

Nie byli to żandarmi.

Munito poznał natychmiast pana de Villenave i panią de Planche-Mibray. Błyskawica zgasła i wszystko pogrążyło się w ciemności

Gdzież jechali w czas tak okropny?

Po zniknięciu błyskawicy zagrzmiało straszliwie.

Obaj jeźdźcy przejechali koło cygana ukrytego w krzakach. Potem błysnęło się znowu i Munito mógł ich ścigać oczyma. Skierowali się do wielkiej skały wydrążonej.

Wtedy zdawało mu się, że było niemożliwem, ażeby łoskot burzy pozwolił im usłyszeć kroki jego, puścił się więc za nimi.

Widział ich jak stanęli pod grotą wydrążoną, potem p. de Villenave zostawił baronowę i pojechał dalej.

Munito zatrzymał się o kilka kroków, rzuciwszy się znów w krzaki.

Od chwili do chwili błyskawice rozjaśniały niebo, a cygan widział młodą kobietę uspokajającą ręką swego konia, którego grzmoty straszyły.

Była samą.

Krew cygana kipiała, a marzenie rozpusty pieszczone od tak dawna opanowało go. I była chwila, w której chciał już rzucić się na nią, zdjąć z konia, zgnieść i zadowolnić swoje niecne pragnienia.

Ale zastanowienie go wstrzymało. Rozmyślił się, że pan de Villenave nie opuścił baronowej, aby już więcej nie wrócić. Widocznie ta skała wpośród lasu nie mogła być celem ich podróży w nocy i w czasie tak okropnym.

W istocie, w jakie dziesięć minut potem p. de Villenave powrócił. Człowiek jakiś był z nim.

Przy świetle błyskawicy Munito poznał go także. Był to Michał Balthazar.

Wtedy Munito zrozumiał wszystko, tembardziej, że te słowa doleciały uszu jego: „Żandarmi czekają nas na drodze.“

Zrozumiał, że p. de Villenave i baronowa, prowadzeni przez zdrajcę Michała, wysłali żandarmów do skał Saussois i że bez pomocy Fanfreluche'a byłby zgubionym niechybnie.

I Munito uśmiechnął się szyderczo, a widząc ich oddalających się szepnął do siebie:

— Idźcie, znajdziecie jaskinię próżną!

Teraz wiedział już którędy się skierować. Ponieważ żandarmi sądzili, że go schwycą w skałach Saussois, opuścili zamek, a więc i wejścia do Planche-Mibray nie musiały być tak strzeżone jak pierwej.

I gdy baronowa i jej dwaj towarzysze skierowali się w dolinę dziką, wpośród której wznosił się dom Balthazarów, Munito pobiegł lasem w stronę zamku de Planche Mibray.

Był zresztą bliżej zamku, jak p. de Villenave i baronowa skał Saussois. Miał więc dosyć czasu przybyć nim ci dowiedzą się o jego ucieczce.

— Ach — mówił sam do siebie, biegnąc jak szalony — znam sposób dostania się do zamku, wejścia do jej pokoji i ukrycia się w starej szafie... a wtedy... wtedy...

Nie skończył, ale serce jego i umysł zrozumiały.

— Jeżeli pani de Planche-Mibray powróci tej nocy do zamku, jeżeli, jak zazwyczaj, zamknie się w swoim pokoju, niech jej przybywają z pomocą... będzie to trochę za późno...

Tak jak Munito przewidział, było w istocie. Opuszczono się w zamku z pilnowaniem ścisłem, wykonywanem każdej nocy.

Pani de Planche-Mibray wyjechała z zamku, nie było kogo bronić, przeto dwaj strażnicy, którzy zwykle przechadzali się w parku aż do świtu, schronili się do pawilonu ogrodnika, tego samego, w którym leżał przez czas jakiś Fanfreluche.

Rozpalili ogień i rozmawiali. Jednakże aby być wiernymi nakazowi, zostawili drzwi i okno otwarte, aby najlżejszy szmer doleciał do nich. Lecz deszcz padał z pluskiem, i Munito przelazłszy przez wyłom w parku przeszedł po za pawilon tak cicho, że nie usłyszeli szmeru jego kroków

Nad oknem pochylała się gałąź drzewa.

Munito schwycił się gałęzi, spiął na drzewo i wylazł na nie. Ztąd mógł widzieć, co robili dwaj strażnicy wewnątrz pawilonu, i od razu, dzięki oknu otwartemu, słyszeć urywkowo ich rozmowę. Usiadł na drzewie, słuchał i czekał.

Jeden ze strażników mówił:

— Z tem wszystkiem, nikt nie wie dokładnie, gdzie pani pojechała.

— Pojechała z p. de Villenave.

— Tyle i ja wiem.

— A nasz naczelnik powrócił do Coulanges z dwoma żandarmami i tam nocują.

— Ale gdzieżtam, mylisz się, pojechali zmienić ubranie i osiodłać konie.

— Po co?

— Ażeby połączyć się z panem de Villenave i uspokoić baronowę.

— Doprawdy?

— Mówię ci, że odkryto miejsce, gdzie się cygan ukrywa.

— Gdzież to jest to miejsce?

— Dowiemy się jutro, ale p. de Villenave wie, ponieważ przyjechał po panią spiesznie.

Z dwóch strażników rozmawiających, jeden był starym sługą dawno już w zamku będącym, drugi młody chłopak przyjęty był dopiero od sześciu miesięcy, a zatem nie znał nieboszczyka barona. Ten ostatni mówił:

— Z pewnością p. de Villenave wie gdzie jest cygan, albo zdaje mu się że wie.

— Albo udaje że wie — odpowiedział stary strażnik, imieniem Hubert.

— To dziwne — odrzekł młodszy — zdajecie się nie bardzo ufać p. de Villenave.

— Tak jest, nie ufam mu wcale.

— Dlaczego?

— Bo znam go od dziecka i wzrastał w mych oczach. Nie wart on wiele. Nieboszczyk pan baron mówił nieraz: „Gdybym się znalazł sam w nocy w lesie z moim siostrzeńcem uzbrojonym w strzelbę, to polecił bym Bogu moją duszę.

— Jednakże — mówił młody strażnik — pani baronowa ufa mu. Ujął ją sobie bardzo, obiecując odnaleźć cygana. Lecz cygan uciekł, jestem pewny.

— Myślisz, że opuścił te strony?

— Z pewnością.

Stary strażnik potrząsł głową.

— A ja tak nie myślę — rzekł.

— Złapano by go przecie nareszcie.

— To nic nie stanowi... O znam ja tych cyganów; zacięte to jak szatany w swem postanowieniu. Pamiętam dobrze cygana Fanfreluche.

— A! — rzekł młody chłopak — cóż to za jeden ten Fanfreluche?

— To kuglarz, który zamordowal stryja tego biednego Maugeville'a, przed dwudziestu dwoma laty.

Rozmawiając tak, strażnicy zajadali chleb i popijali winem.

Munito siedział nieporuszony na drzewie, nie tracąc ani słowa z ich rozmowy, ani z ruchów, a wzrok jego był wlepiony w wielki nóż o rękojeści rogowej i ostrzu trójkątnem, który stary Hubert wyjął z kieszeni i którym krajał kawał słoniny leżącej na stole.

— Ach! gdybym mógł mieć ten nóż — myślał Munito, który przypomniał sobie o sztylecie zostawionym w rękach pani de Planche-Mibray.

I teraz myślał tylko o tem, jakim sposobem schwycić by broń, którą spodziewał się zamordować baronowę, gdyby mu się opierała.

Przypadek mu posłużył.

Gdy zjedli i wypili, strażnicy powstali. Hubert wziąwszy swój płaszcz gutaperkowy i strzelbę, rzekł do swego towarzysza:

— Chodźmy teraz przejść się po parku.

— Ale deszcz pada...

— To nic nie szkodzi; najpierw deszcz nie jest zimny, a potem mamy taki nakaz.

— To prawda.

— I trzeba go wypełnić.

— Ale na co się trudzić; może w tej chwili żandarmi przytrzymują cygana.

— W drogę! — zawołał stary strażnik z wyrazem powagi.

Młody chłopak nie robił już więcej uwag. Tak jak Hubert, zarzucił płaszcz, wziął strzelbę i obaj wyszli z pawilonu.

Ale przedtem Hubert rzucił dwa polana na ogień.

Nóż otwarty zostawił na stole.

Nóż ten miał rękojeść z kółkiem miedziannem u trzonka.

Noży tych, obróciwszy kółko, nie można zamknąć i tworzą one rodzaj sztyletu, których strzelcy używają na dziki.

Obaj przeszli po pod drzewo, na którem w gęstych gałęziach siedział nieporuszony Munito.

Cygan wstrzymał oddech. Widział ich jak się oddalali, ścigał ich najpierw wzrokiem, potem słuchem i czekał aż ich kroki ucichły w oddaleniu.

Wtedy zwinny i lekki jak kot, zsunął się z gałęzi, wskoczył na okno, jednym susem był w pawilonie i schwycił nóż, przedmiot swoich pragnień.

Potem wyskoczył z pawilonu i pobiegł stroną parku najbardziej zarosłą i cienistą.

Niedaleko muru ciągnęła się aleja z rododendronów olbrzymich, których gałęzie były tak gęste i ściśnięte, że można się było pod niemi przechadzać w czasie deszczu jakby pod krytym kurytarzem.

Munito pobiegł tą aleją. Aleja prowadziła do oranżerji.

Cygan, który się ukrywał kilka nocy w zamku po zamordowaniu pana de Maugeville, znał dokładnie cały rozkład zamku.

Wsunął się do oranżerji, otworzył maleńkie drzwiczki prowadzące do sieni, oświeconej jeszcze lampką, wiszącą u sufitu. Przeszedł jak cień koło drzwi od kuchni, gdzie słudzy zebrani rozmawiali o tajemniczym odjeździe swej pani, i nikt nie słyszał szmeru jego kroków.

Munito przesuwając się jak widmo, wszedł na główne schody.

Świeciło się w pokoju pani Villemur, drzwi nawet były odchylone. Wdowa czekała niespokojna powrotu swej przyjaciółki.

Munito wszedł na kurytarz, otworzył drzwi i zamknął, a wszystko bez szmeru. Rzekłbyś, widmo przesuwające się pomiędzy mury.

Nareszcie stanął w mieszkaniu samej baronowej de Planche-Mibray i trzymał ciągle w ręku nóż świecący, skradziony w pawilonie.

XIX.

Pokoje, które baronowa de Planche-Mibray zajmowała w zamku, obejmowały część pierwszego piętra i składały się z buduaru, obszernego pokoju sypialnego i garderoby, którędy drzwiczkami ukrytemi wychodziło się na kurytarz i obejść można było te trzy pokoje.

Zamek Planche-Mibray było to stare domostwo, którego konstrukcja wewnętrzna pozostawiała wiele do życzenia.

Jedne tylko drzwi zamykały kurytarz. Gdy baronowa była u siebie i zaryglowała drzwi, oddzielona była od całej służby i od wszystkich w zamku.

Munito wiedział o tem.

W kurytarzu tym stała olbrzymia szafa z wiekiem rzeźbionem, w której dawniej nieboszczyk baron przechowywał rozmaite stare pergaminy i obrazy familijne w popsutych ramach. Baronowa kazała poprzybijać gwoździe i używała teraz do wieszania sukien.

Szafa ta była tak wysoka, że człowiek wzrostu cygana mógł w niej stanąć wygodnie, a dość szeroka, aby się ukryć za sukniami, które tam wisiały.

Błyskawice, które trwały ciągle, pozwoliły Municie orjentować się, gdy był w kurytarzu. Otworzył szafę, wsunął się tam i zamknął drzwi za sobą.

W godzinę potem zrobił się hałas w zamku. Baronowa wracała z panem de Villenave i żandarmami.

Nie znaleźli nikogo.

I Munito słyszał jak baronowa wróciła w towarzystwie swego siostrzeńca, który odprowadził ją aż do

jej pokoju. Rozpacz pani de Planche-Mibray graniczyła z szaleństwem.

— Moja ciotko — mówił pan de Villenave — nic nie ma straconego, przysięgam ci. Zaraz jutro puszczam się w pogoń.

— Człowiek ten zdradził nas — odezwała się.

— Kto, Michał?

— Tak...

— Przysięgam, że tak nie jest. Nie winien on nic temu, że cygan uciekł.

Rozmawiali jeszcze chwil kilka, a potem p. de Villenave, żegnając się z baronową, dodał:

— Nie obawiaj się niczego tej nocy kochana cioteczko. Sam zajmę się i porozstawiam straż w zamku i naokoło zamku. Wszyscy będą na nogach, nikt spać nie będzie; kładź się i spij spokojnie!

I pan de Villenave odszedł, a baronowa zamknąwszy drzwi od kurytarza, stała długo jeszcze oparta w oknie otwartem, chłodząc na deszczu swą rozpaloną głowę i wpatrując się w błyskawice rozjaśniające niebo co chwila, jak gdyby to wzburzone niebo, uspakajało burzę w jej sercu.

Nareszcie zamknęła okno, zbliżyła się do łóżka, a upadłszy na kolana, modliła się długo, aż znużona zmęczeniem, chciała się wreszcie położyć, gdy nagle cień jakiś stanął przed nią.

Krzyknęła. Ale krzyk ten był tak słaby, że zamarł jej na ustach.

Munito stał przed nią.

Cygan okryty był łachmanami. Broda nieuczesana i czarna spadała mu aż do pasa, a piękność jego cygańska i dzika, miała w sobie coś piekielnego. Trzymał w ręku nóż, który skradł w pawilonie.

— Jeżeli krzykniesz — rzekł — jeżeli krzykniesz, zabiję cię!

Pani de Planche-Mibray cofnęła się przerażona i bezprzytomna. Cygan postąpił ku niej, mówiąc:

— Podczas gdy szukałaś mnie tam, byłem tutaj!

Próbowała uciekać, lecz chwycił on ją za gardło.

— Słuchaj mnie — szepnął i wstrząsając nożem.

Szamotała się jednak, a Munito nie uderzał, sądząc, że nie ma potrzeby, dopokąd nie krzyczy.

— Słuchaj mię — powtórzył — kocham cię... i musisz być moją... Wybieraj moją miłość... albo śmierć... Samaś się zamknęła... Nim nadejdą z pomocą, nasycę moją miłość i zemstę...

Walczyła z energją, ale gardło jej ściśnięte nie mogło wydać żadnego głosu.

Nagle udało się jej wyrwać z jego uścisku, wysunęła się jak wąż z rąk jego, skoczyła wstecz i wbiegła do garderoby, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Ale w okamgnieniu Munito wywalił pięścią drzwi szklanne, które rozleciały się z trzaskiem.

Pokaleczył się tylko rozbijając szybę i krew się pokazała, a ból nawet był tak mocny, że aż krzyknął.

— Ach! musisz być moją! — zawołał.

I objął znowu baronowę, a usta jego dotknęły ust jej.

— Ach! — krzyknęła baronowa głosem rozdzierającym, strasznym.

Z krzykiem tym zmięszał się łoskot walącego okna, które wybijano w chwili, gdy Munito chciał popełnić najstraszniejszą zbrodnię.

Któż to przybywał na pomoc pani de Planche-Mibray?

Zaraz się dowiemy.

Pan de Villenave, opuściwszy baronowę, wiernie dotrzymał obietnicy. Uzbroił wszystkich służących, zorganizował patrol, ustawił straż i poszedł potem do pawilonu, gdzie dwóch strażników siedziało niedawno.

Powrócili już byli napowrót do pawilonu, i pan de Villenave zastał ich sprzeczających się.

— Mówię ci — mówił stary Hubert — że zostawiłem mój nóż na stole.

— Gdybyście go byli zostawili, byłby tu — odpowiedział młody chłopiec.

— Jestem pewny.

— Et! włożyliście go pewnie do kieszeni.

— Ale nie.

— Czego się tak sprzeczacie? — zapytał wtedy pan de Villenave, przestępując próg pawilonu.

— Ktoś zabrał mi mój nóż — odpowiedział Hubert.

Pan de Villenave drgnął.

— A byłże tu kto? — zapytał.

— Nie sądzę przynajmniej...

Pan de Villenave trzymał w ręku lampę, schylił się do ziemi i rzekł nagle:

— Który z was chodzi boso?

— Nikt — odrzekł Hubert.

— Nikt? a spojrzyjcie na ziemię...

I pan de Villenave pokazał im na progu ślady nóg bosych.

Wyszedł z lampą w ręku, przyglądając się ziemi.

Ślady nóg bosych wybite były miejscami na ziemi wilgotnej.

Pan de Villenave i dwaj strażnicy, którym nakazał milczenie, szli za tymi śladami. Prowadziły one do aleji rododendronów, a ztamtąd do oranżerji.

Pan de Villenave wszedł do oranżerji, a znalazłszy te same ślady, wykrzyknął:

— Do stu djabłów! to Munito!

I wybiegł spiesznie, a w tejże chwili jeden ze strażników zawołał:

— Panie! panie! słyszysz pan?

— Co takiego?

— Coś zabrzęczało w pokoju pani.

Pan de Villenave nie słuchał więcej.

Okna z pokoju sypialnego baronowej wychodziły na oranżerję.

Pan de Villenave schwycił obok stojącą drabinę, przystawił ją do muru, wylazł, wywalił okno pięścią i skoczył do pokoju z rewolwerem w ręku, w chwili, gdy Munito zakrwawiony, okrywał swemi ohydnemi pocałunkami panią de Planche-Mibray, na pół zemdloną. I nie słyszał nawet łoskotu walącego się okna.

Pan de Villenave skoczył do niego, przyłożył rewolwer do skroni nędznika, i strzelił...

Munito upadł na miejscu!

Pan de Villenave tym wystrzałem pomścił śmierć Maugeville'a, ocalił baronowę i zmusił Munita do wniesienia do grobu tajemnej umowy, która istniała między nimi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.